

Rok II. **1868.**

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“
rocznie . . . . 8 złr. — ct.
półrocznie . . . . 4 „ — „
ćwierćrocznie . . . . 2 „ — „
Pojedynczy numer . . . . — „ 20 „

Nr. 11.
15 Marca.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową
rocznie . . . . 8 złr. 50 ct
półrocznie . . . . 4 „ 30 „
ćwierćrocznie . . . . 2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie 1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie . . . . 6 franków.

Kościuszko Tadeusz

(w Szwajcarji.)

Pobyt Kościuszki w Szwajcarji, nastręczył jednemu z pism niemieckich (Gartenlaube) przedmiot do podania wielu szczegółów z czasu jego bytności w Solurze.

Solura, ciche, czyste i w pięknej okolicy położone miasteczko, stało się ulubionem miejscem pobytu Kościuszki, do czego się przyczyniła ta okoliczność, że było zarazem rodzinnem miejscem jego jedynego przyjaciela Zeltnera.

Obarczony wiekiem, osłabiony ranami i cierpieniami, doznawał Kościuszko prawdziwie braterskiej pieczy w domu przyjaciela, dla tego też postanowił stale tam zamieszkać.

Spokój w pożyciu domowem odpowiadał zupełnie jego usposobieniu — gdyż on nigdy nie lubiał blasku ani wystawy wielkiego świata, dawniej żył on po wojskowemu, więc i teraz uczestniczył przy skromnych obiadach, sypiał na łóżku polowem, miał tylko jednego starego i wiernego sługę, i małego konia dla wycieczek w okolice.



Portret Kościuszki wedle oryginału Rickera, będący w posiadaniu bankiera Brunera w Solurze.

Życie jego było regularne i surowo po wojskowemu spędzane. Część onego poświęcona była umiejętnemu wykształceniu, a jeografia i historja były przedmiotem jego studjów, które już w więzieniu Petersburskiem czas mu skracały. Więcej atoli troszczył się o wykształcenie dwunastoletniej córki swego przyjaciela Emilji Zeltner, która za powrotem w dom rodzicielski tak się przywiązała do starego Kościuszki, iż prawdziwie rozrzewniający był stosunek przyjaźni tych dwojga dusz tak różnych wiekiem. Kościuszko zastrzegł sobie przeprowadzenie wyższego wychowania swej młodziuchnej przyjaciółki; jakoż udzielał jej regularnie w pewnych godzinach jeografji i historji, mianowicie rzymskiej. Kościuszko zawsze lubił dzieci i serdecznie bawiła go naiwność dziewcząteк — a że nigdy nie wychodził z domu bez cukierków w kieszeni, aby niemi obdarzać skaczące koło niego dziatki, tak też i Emilja przy każdej sposobności obficie była obdarzana. Dla niej to, urządzał Kościuszko bale dziecinne, gdzie z całą serdecznością bawił się z młodzieżą, grał z niemi w gry rozmaite i śmiał się. Wpływ Emilji był tak wielki na jej sędziwego przyjaciela, że stała się ona pośredniczką pomiędzy nim a mieszkańcami miasta; wręczała mu prośby o wsparcie i t. p.

Tylko małe grono przyjaciół odwiedzało go, uczeni, oficerowie, kupcy, bywali u niego co wieczór na herbacie. Etykietalnych wizyt nio oddawał nikomu, a ciekawych, którzy chętnie czepiają się sławnych ludzi umiał w oddaleniu trzymać. Najchętniej wdawał się z wieśniakami i robotnikami, godziny całe przypatrywał się robotom w polu, i wypytywał o niektóre szczegóły. Także odwiedzał kamieniołomy w okolicy Solury i często

przykładał rękę do pracy. Wycieczki w okolice miasta odbywał konno bez żadnego towarzystwa i odwiedzał najczęściej biedne chaty u podnóża gór Jura, a gdy dostrzegł niedostatek, lub chorobą złożonych, to natychmiast zsiadał z konia, przywiązywał go do drzewa i wnosił w dom pociechę i pomoc.

Do takich odwiedzin brał zwykle ze sobą i woził w olstrach parę butelek starego wina, które udzielał biednym.

Długo nikt nie wiedział kto był ów przyjaciel ludzkości, z otwartą do podarunków dłonią, bo zaledwie obdarzył niespodzianie biednych w jednej chacie, już siadał na konia i spieszył do drugich. Równie żebracy po drogach, biedni wyrobnicy, lub inwalidzi nie byli pomijani i nigdy nie puszczał się w drogę nie mając kieszeni pełnej drobnej monety. Koń zaś jego nawykł tak dalece do zwyczajów swego jeźdzca, że gdy po drodze spotkał żebraka, to stawał przy nim i póty nie ruszył z miejsca dopóki biedny jałmużny nie dostał. Ponieważ te wycieczki dokonywał codziennie pomimo deszczu i śniegu, więc znał jak najlepiej statystykę biednych całej okolicy.

Zima roku 1816—17 spowodowała głód, a drożyzna dosięgła tego stopnia, że nawet zamożni musieli się ograniczać.

Czynność i poświęcenie się Kościuszki w tych czasach było nader wielkie. Z podwójną gorliwością odwiedzał biednych, i rozdzielał codziennie pieniądze między 50 ubogich, ustanowił składki na jadalnie dla biednych i wszędzie był czynnym. Często nawet wielkie wydawał sumy, aby biednych od zguby ratować; gdy jednego wieczora dowiedzał się, że dwie uczciwe rodziny za długi wyrzucone zostaną z pomieszkania, wręczył natychmiast pieniądze pani Zeltner, aby je bezwłocznie przesłała tym nieszczęśliwym.

W marcu 1817 r. pewien biedny pleban, który całe swoje życie w najuboższej z kantonu parafji był pasterzem dusz, obdarzony został wreszcie od rządu najbogatszem probostwem, aby resztę życia bez troski spędził. Szlachetny ten starzec, nie mógł się zdecydować, aby dla polepszenia swego bytu materjalnego, porzucić ulubionych parafian i odmówił probostwa.

Zaledwo Kościuszko dowiedział się o tak pięknym czynie starego plebana, pospieszył do niego aby go poznać. Gdy przybył przed dom plebana, zastał go przy goleniu, i pomimo że pleban wzdrygał się przyjąć tak dostojnego gościa w negliżu, Kościuszko wtargnął do jego pokoju i ze łzami w oczach począł go ściskać i prosił o jego przyjaźń.

Od tej pory plebania ta, stała się najulubieńszym celem wycieczek Kościuszki.

Podczas dwuletniego pobytu Kościuszki w Solurze, odbywał on większe wycieczki konne dla pozna[nia] Szwajcarji. Roku 1816 zwiedził plac boju pod Morgarten. Gdy tam na miejscu, studjował szczegóły tej bitwy, wzruszony do głębi serca, ścisnął rękę swego przyjajaciela i rzekł:

— Ach! — gdyby mnie pod Maciejowicami taki Hünenberg był napomniał, a Poniński gdyby się był tak szybko zwinął jak Reding...

(D. n.)

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

(Ciąg dalszy.)

Co tu powiedziano o więźniach, można po największej części przenieść i na naród rosyjski. W dość jaskrawych i wybitnych barwach występuje najbardziej to usposobienie u Sybiraków rosyjskiego pochodzenia. Forma dla nich jest wszystkiem. Następna anekdota odmaluje nam zresztą usposobienie Sybiraków lepiej, jakby to przedługie komentarze uczyniły. Jakiś tuziemiec zabił przechodnia. Złowiono go i pytano przy śledztwie, dlaczego tej zbrodni się dopuścił. „Byłem głodny“ — odpowiada, „i sądziłem, że znajdę co u niego do zjedzenia.“ — „Dlaczegoż więc nie jadłeś tego kawałka wieprzowiny“ — pytają, „coś znaleść musiał w jego torbie podróżnej, którąś przetrząsał“. — „Moi panowie!“ odpowie: „wszakżem ja nie poganin, ale prawosławny i chrzczony! Środa wtedy była, jakżeż miałem post łamać?“. Anekdota ta wcale nie jest przesadzoną.

Widząc więc z boku, z jaką uwagą i pochopnością więźniowie ci zawiśli na ustach starowiercy, rzekłbyś, że ludzie słuchający z taką gorliwością rozpraw bogobojnych nie zdolni są do zbrodni — a jednak każdy z nich miał, używając ich języka, najniezawodniej kilka dusz na sumieniu...

— Czy widziałeś kiedy — rzecze starowierzec poważnie do najpierw go nagabującego — obraz biesa?

— Widziałem! — odpowie tenże.

— Prawda, że mu para i ogień z paszczy zionęły?

— Prawda, ojcze!

— A więc i człowiek palący tytoń podobnym siebie czyni biesowi przeklętemu. Już święty Jan w apokalipsie pisał o ludziach, którym będą para i ogień z ust buchały, podobnie jak przepowiedział, że ancychryst będzie jeździł żelaznym wozem bez koni, parą i wodą tylko; i do was to, co tytoń palicie, te słowa się jego stosują. Wy i wozy owe, znamionujecie blizki koniec świata!

— Któż może wiedzieć, ojcze, o końcu świata?

— Ot głupiś! o wszystkiem jest napisano w księgach, a kto gorliwie się w nie wczytał, temu łatwo dzień i godzinę nawet przepowiedzieć. Każda głoska z pisma świętego oznacza jakąś liczbę, zależy na tem tylko umieć je zestawić i zrachować. Rozumie się samo przez się, że nie każdemu taka wiedza jest daną!

— Widzisz ty! jak to dobrze umieć czytać i pisać!

— Ale cóż złego w tytoniu, ojcze? wtrąca — drugi ze słuchających — wszak to takaż trawa, jak i inne przez Boga stworzone!

Przez Boga?! — wykrzyknie z oburzeniem starowierzec — ot lepiej milczałbyś, trutniu, i nie obrażał Boga takiemi bredniami! Bóg nie zniżał się nigdy do stworzenia podobnego brzydactwa. Tytoń wyrósł z mózgu przeklętej dziewczyny, a sam bies go pielęgnował, podlewając codziennie!

— Powiedz że nam, ojcze, jak to było?

— Onego czasu był oto król możny wielki i bogaty, który zapadał często na smutek. Nikt niczem rozweselić go nie mógł, choć dworzanie silili się na wymysły, by pana swego rozerwać. Przyszedł więc razu jednego diabeł do nich i powiedział im, iż rozweseli go trawą, którą skoro popali, będzie pijany i wesół. I dowiedział się król o tem, i posłał sługi swoje za diabłem, i ten na stepie ukazał im trawę wysoko, wysoko rosnącą. Kiedy ją wykopano, przekonano się, iż korzenie jej wychodziły z mózgu dziewczyny, ubitej piorunem i jakoby na 30 stóp pod ziemię zapadłej. I objął strach wszystkich, i poniesiono trawę do króla. Ten popalił i poweselał i przykazał ją rozmnożyć po wszystkich krajach swojego państwa. Ztąd to początek tytoniu, dla którego tyle grzechu na duszę przyjmujecie! —

— Widzisz ty! jak to ludzie uczeni wszystko wiedzą, a człowiek był durniem i durniem zostanie. Ot jak! z mózgu przeklętej dziewczyny! — zauważył z podziwieniem jeden ze słuchaczy.

— Patrz no, Miszka, durniu! — wtrąca drugi, obracając się do swego towarzysza — ty pono i czytać majster, i pisaka z ciebie, bo przecież robiłeś Sybirakom pieniądze, a o tem nie wiedziałeś! A herbaty, ojcze! — dodaje on, zwracając się do starowierca — czy także pić nie wolno?

— Kto pali tytoń lub zażywa go, ten już przeklęty, mówią ojcowie święci — odpiera solennie starowierzec; — kto pija herbatę, ten jest nim trzykroć! Tytoń bowiem, aczkolwiek biesowska pokusa, rośnie jednak i na ziemi ruskiej i chrzczeni go uprawiają; herbatę zaś przygotowują poganie!

— Powiadają, ojcze, iż targowica oczyszcza wszystko, podobnie jak ogień. Ot i car i metropolici przecież piją herbatę, a oni pewnie muszą wiedzieć, co jest grzechem, a co nie!

— Car? metropolici? — mówi starowierzec, szyderczo się uśmiechając, — o oni piją herbatę, ja to wiem; lecz któż oni? wszakże to są poprzednicy ancychrysta i jego przyjaciele! Oni nie tylko że piją herbatę i tytoń palą, ale nawet i postów nie zachowują, podobnie jak niechrzczeni!

Ani jeden ze słuchaczów nie stanął w obronie cara i metropolitów. Gdzie idzie o zachowanie formy religijnej, tam Moskal i cara nie waha się potępić.

— Tak, tak — prawi dalej starowierzec — gdybyście wiedzieli, co to za trawa ten tytoń, to byście pewnie nie składali palców do żegnania tak, jak składają tabacznicy do brania tabaki, ani byście się kłaniali przed obrazami malowanemi, na które malarz malując nieraz kłęby dymu tytoniowego puszcza.

Starowiercy bowiem różnią się od prawosławnych, iż nie składają wielkiego, wskazującego i średniego palca, jak ci ostatni, do żegnania się, a czynią to tylko wskazującym i średnim, przytykając wielki do reszty dwóch skórczonych. Prawosławnych z tego sposobu żegnania się zwą oni szyderczo szczepotnikami, ponieważ składają palce tak, jakby chcieli wziąć szczyptę czegoś. Toż samo nie mają oni obrazów olejnych, a modlą się przed miedzianemi, jak je zwą, bogami i ikonami — z powodów niżej przytoczonych. Jeszcze jedna bardzo charakterystyczna różnica zachodzi w pisowni słowa Jezus: prawosławni piszą Jisus, starowiercy natomiast Iisus. Zresztą nie mamy tu zamiaru wyswiecać całego stosunku różnych a przeróżnych sekt moskiewskich starowierców do prawosławnych, chcieliśmy tylko, podnosząc niektóre szczegóły, których sami nie liczymy do najgłówniejszych, wyłuszczyć, w jakim kierunku te sekty powstają i o co im głównie chodzi.

— Jednak i u was są także obrazy - wtrąca znowu jeden ze słuchaczy.

— Są — odpowie starowierzec — ale miedziane; wylewając je, fajki palić nie można!

— Ha, może i wasza prawda, ojcze! Bóg to wie!

— Świat — kończy w pedagogicznym tonie starowierzec — do woli dan! Swobodnemu swoboda, zbawionemu raj! Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słucha; kto ma oczy ku patrzeniu, niech patrzy!

* * *

— E, co mi tam prawisz o dzisiejszej karze cielesnej! — mówi do jednego ze stojących około więźniów blady modniś jakiś więzienny, w szerokich czarnych spodniach aksamitnych, w czerwonej niezapiętej i nieprzepasanej koszuli, w czapce na bakier i w kajdanach, z których połowa do jednej nogi przykuta, druga zaś do pasa u spodni przyczepiona pod koszulą się gubiła: — wyleżałbym dziś i sto pletni na kobyle, i ani do szpitalu nie poszedłbym!

Ostatnim słowom towarzyszył ruch ręki, którym mowca, podniosłszy nieco czapkę, długie swe włosy z czoła w tył odgarnął. Ruch ten po największej części ma znaczenie słów: patrzcie na mnie, com za junak! i bywa używany przeważnie od modnisiów więziennych podczas ich gawęd, siebie zazwyczaj za przedmiot mających. Nie ma chełpliwszego stworzenia nad zbrodniarza, bo też i wątpię, żeby u kogokolwiek samolubstwo do tego stopnia było rozwinięte, jak u zbrodniarza, i dobrze twierdzą, iż korzenia zbrodni szukać należy w egoizmie.

Wyrzeczone teraz przez nas zdanie nie zbija wcale mniemania wyżej wyrażonego, jakoby zbrodniarze byli ludźmi niepospolitych usposobień, ludźmi, którzy dobrze zrazu prowadzeni, mogliby byli wznieść się nad poziom cnót zwyczajnych. Owszem, ono popiera tylko powyższe nasze twierdzenie. Kto bowiem jest zdolny kochać tak dalece siebie, iż się z przyczyny tej miłości zniżyć może aż do zbrodni — ten, sądzę, dobrze poprowadzony z razu, potrafiłby z pominięciem siebie ukochać drugich do tego stopnia, iżby mu nie trudnem było wznieść się dla nich aż do poświęcenia...

Mala sunt vicina bonis!...

— Zawsze, bratku pletnia, to nie twoja siostra! — odpowie zagabnięty, — gdyby kłaść ją tylko bez przycisku na ciało, to i wtedy zaboli, wszak psiakrew siedm funtów waży!

— Cóż z tego? wprawny kat może tak uderzyć, że ani poczujesz; a dzisiaj to tak i biją; sami urzędnicy szepcą katowi: „lekko, jak można lekko, psi synu!“ A dawniej, nie bój się — tu znowu nastąpił ruch ów chełpliwy — nie poszeptał ani jeden podobnie, a krzyczeli psiawiary po każdem uderzeniu: mocniej, mocniej! Inne to były czasy!

— Prawda, że bieda była z temi pletniami — wtrąca inny — a jeszcze gorsza, kiedy bito knutem po plecach. Za każdą razą kruczek knuta wyrywał kawałek ciała, i po kilkunastu uderzeniach niesiono cię już jak Łazarza na prześcieradłach do szpitalu, a plec to nawet i poznać nikt nie mógł, tak były czarne. Ile to ja już knutów i pletni zjadłem w swem życiu! i czasby mi już przyzwyczaić się do nich, a jednak zawsze kiedy sobie na nie wspomnę, dreszcz mnie całego przebiega!

— Nigdy nie zapomnę dnia tego — prawi dalej modniś — kiedy mnie miano pierwszy raz wywieść na rynek. Całe naczelnictwo było na mnie oburzone, bom się im wjadł za skórę podczas pobytu w więzieniu; striapczy groził zawsze, że nie zejdę żywym z szafotu, a kat z obawy brać nawet nie chciał zwykłego podarunku odemnie. Ledwie nie ledwie zgodził się na 12 rubli. Miałem dostać 50 pletni; zabić to nie sztuka!

— Co za sztuka? osobliwie kiedy rozkażą! kat dwudziestoma zabije na śmierć! — wtrąca ktoś z grona. —

— Otóż wieczorem dowiedziałem się, iż nazajutrz będzie moja egzekucja. Całą noc spać nie mogłem, byłbym oddał niewiedzieć co, byle dzień ów już przeminął. Rano starosta więzienny dostał jakimś sposobem wódki, zawołał mnie i dał sporą szklankę mówiąc: „pij Grzesiu! tylko patrz, nie upijaj się, bo cię nie powiozą!

— O to pewnie! jak skoro spostrzegliby, żeś pił wódkę, to odłożyliby łotry egzekucję do drugiego razu; pijanego nie chcą bić szelmy.

— A dobrzeby było, gdyby tak pijanych wozili na rynek; wtedy do stu diabłów człowiek by i nie czuł może! — wtrąca drugi.

— Wypiłem więc i zakąsiłem cebulą, by nie poznali, lecz powiadam wam, ani poczułem żem pił, choć wódka była jak ogień, czysty spirytus. Zawsze mi czegoś brakowało, jakiś strach osobliwy mnie przejmował; nie wiedziałem co począć ze sobą. Ani stać, ani chodzić, ani siedzieć, ani leżeć; nigdzie miejsca sobie nie znajdziesz, zawsze ci przed oczyma stoi kobyła i pletnia trzykończasta. Towarzysze pocieszali wprawdzie, lecz ich słowa jakoś nie lgnęły do serca. Nigdy tak długiemi mi się nie wydawały godziny, jak wtedy, i trudno się było doczekać już raz tej dziewiątej. Uprosiłem więc starosty, by mi dał jeszcze jedną szklankę i po niej dopiero trochę serce się rozegrzało. Nakoniec dał się słyszeć szum przed więzieniem, przybyła straż i wóz po mnie zajechał. Ech, jak mi wtedy serce biło! mało pierś mi nie pękła... Gdyby był przyszedł striapczy lub isprawnik wówczas, niechybnie byłbym przebił którego z nich nożem, Byliby przeprowadzili nowe śledztwo, ciągnęliby ze dwa lata, a tam może jaki manifest byłby nadszedł... Powskakiwaliśmy wszyscy do okien i widzieliśmy to ogromne czupiradło, na którem wieźć mnie na rynek miano... Zawołali;.. poszedłem drżąc cały jak liść osikowy.

(D. c. n.)

RENEGAT

(powieść tegoczesna)

napisał

ADOLF NAŁĘCZ.

II. Miatieżniki.

(Dalszy ciąg.)

Pan Rakiewicz, gdyż tak się nazywał gospodarz domu, narzekał na porywczość swego syna, matka zaś, poznając ogień ten święty co rozpłomieniał duszę jego, tuliła go do serca swego, przeczuwając



Jarmark w małem Mieście, oryginalny rysunek Tadeusza Szteiferta.

gorzkie doświadczenie, które mu przyszłość gotuje przy takiem usposobieniu.

— Będzie awanturnik! pułkowniku! Kto to widział porywać się z motyką na słońce!! — zadecydował Rakiewicz mrucząc pod nosem.

— Daj nam Boże tysiące takich awanturników, którzyby głęboko czuli obrazę nam ciągle zadawaną — odpowiedział pułkownik.

— To pan pochwalasz czyn ten porywczy Władka?

— Przynajmniej nie ganię... — cóż byś jegomość zrobił w takim razie?

— Hem! namyślałbym się przynajmniej pierwej — odpowiedział zakłopotany Rakiewicz.

— Namyślał!? gdzież ten czas do namysłu, gdy piorunem uderza obelga — nie, nie, gospodarzu! są chwile, w których nie rozum ale serce kieruje czynami, uczucie to jest nam sprawiedliwą wskazówką do działania.

— Za moich czasów pułkowniku, młodzieniaszek, jak mój Władzio, uczył się abecadła, a nie zaprzeczysz, że lepiej było na świecie!

— Lepiej rzeczywiście, ale komu?!

— Jak to komu?! przecież nam! nam szlachcie polskiej! to jest narodowi.

— Jeżeli pan przez samą tylko szlachtę rozumiesz naród, to nie przeczę — jednak obok szlachty żyją w Polsce jeszcze miljony ludzi — są mieszczanie, rzemieślnicy, chłopi..

— O! o! pułkownik coś nowatorskie pomysły roisz sobie w głowie, co chłopu, mieszczaninowi do tego, co my robimy!

— A jak nie stanie szlachty, któż będzie bronił tego kraju, a nareszcie kto go i teraz swem życiem zasłania?

— Nie stanie szlachty? dziwny argument; — jak nie będzie szlachty to koniec wszystkiemu po prostu, koniec świata.



Muzeum Thorwaldsena w Kopenhadze.

— Ja myślę że początek, gdyż mnie się zdaje, że Adam był bez dyplomu — odparł śmiejąc się pułkownik. — Nie wiadomo mi jakim się herbem pieczętował.

— Adam, Adam, mości pułkowniku, był szlachcicem, gdyż Bóg go stworzył i nadał mu, jak wiemy panowanie, nad innemi.

- Nad zwierzętami! przynajmniej tak nam podaje tradycja, ale nie nad chłopami, to jest naszymi równymi.

— Nie było chłopstwa, więc rzecz naturalna, że nad zwierzętami — teraz zaś są oni...

— Więc niech oni zastąpią zwierzęta. Nieprawdaż panie gospodarzu?

— Ot przestańmy o tem, ja nie lubię filozofować — gdyż to prowadzi do grzechu!

— Do grzechu pierworodnego, to jest do chęci panowania, gdyż Adam także chcąc mieć za wiele, postradał wszystko.

— Mylisz się pułkowniku, widać, że wy wojskowi nie wiele rozumiecie się na piśmie świętem; Adam chciał być przemądrym, ja tem zaś nie grzyszę, my nie chcemy żadnego nowatorstwa, pragniemy tylko aby tak pozostało, ot po staremu!

Nie wypędzimy Moskali jak się nie odnowimy, — gdyż nie zainteresujemy narodu do walki, nic mu nie dając za ofiary, co ponosi.

— Tak tam coś bajało, kilku warjatów o tem w Warszawie; ale te teorje nie dla nas; Bogu dzięki znaleźli się ludzie zdrowego rozumu, którzy odepchnęli te rewolucyjne myśli i zachcianki.

— Znalazło się ich aż zanadto — odpowiedział z westchnieniem pułkownik — dlategoż zamiast miljonami, walczymy tysiącami.

Zbliżenie się gospodyni domu przerwało dalsze konwersacje pana Rakiewicza z pułkownikiem, który ze swej strony był także zadowolniony, że skończy niemiłe mu rozmowy, prawie codziennie w tym samym duchu, jak z Rakiewiczem, po innych dworach i dworkach prowadzone.

Pani Rakiewiczowa udecydowała, a za jej wolą i mąż, że wypada powierzyć Władka pułkownikowi, aby go przybywszy do Warszawy, ulokował u krewnych państwa Rakiewiczów.

Rozstanie Władka z matką było pełne czułości, albowiem mimo swego młodego wieku czuł on instynktowo, że rodzice pozwalając a nawet żądając oddalenia się jego, czynią to z troskliwości, aby uchylić niebezpieczeństwo grożące mu od tych, dla których ani wiek dziecięcy ani płeć nie miały i nie mają ni względów ni poszanowania. Pan Rakiewicz żałował swego syna, ale li dlatego, że go wyręczał już w wielu czynnościach, należał on do tych tak licznych ludzi, którzy swoję osobę, swój byt i swoje zapatrywania się, nad wszystko cenią — i przez bierność bezprzykładną, może najwięcej szkodzą ogólnemu dobru kraju.

Wszystko co się dzieje, jest wynikiem inicyatywy ludzi, — nic nie jest wypadkiem nie może mieć miejsca bez pomysłu ludzi, co tworzą zdarzenia, zatem każde bierne zachowanie się, urastające w stagnację życia publicznego, nie może być okolicznościami przypadkowemi wytłumaczone, albowiem wpadalibyśmy w fatalizm, to jest negację rozumu ludzkiego.

Mówią że świat jest materjalny, dajmy tej materji duszę, a dowodem to będzie, że duch człowieka zwycięża naturę i kieruje się swoją wolą.

Szlachta polska, jak każda szlachta, gdy zaparła się swego powołania pierwotnego — działań wojennych rycerskich, straciła

przez to i swoje stanowisko. — Idąc przodem narodu — powinna była gdy jej wytrącono przewilej żołnierski, ująć oręż moralny w ręce to jest, dźwignąć ducha pomysłu, twórczości i inicjatywy w instytucjach krajowych, mając do tego lepsze środki niż reszta narodu.

Zamiast dąsać się, ubolewać za dawnemi czasy — utyskiwać na nowatorstwa i chórem powtarzać głupie bezzasadne oskarzenia na socjalistów, demokratów i komunistów, powinna była, gdy jej przysługiwało pierwszeństwo, ująć w swoje ręce kierownictwo ducha, który gorzał płomieniem w piersiach ludzi, co szczerze kochali ojczyznę i chcieli rozszerzyć falangę obrońców kraju, sięgając do ostatniej rezerwy, do ludu, budząc w nim samopoznanie i godność człowieczą.

Ludzie ci budząc w narodzie tę godność — przewidzieli, że z tego wyrodzą się koniecznie i obowiązki na korzyść całego kraju. Egoizm nie kierował ich pomysłami, albowiem niedożyli i niedożyją oni owoców swej pracy.

Bezrozumne jest zatem oskarżanie ich o ambitne cele, — a haniebnie przyklaskiwać wrogom gdy ich dręczą i prześladują — ponieważ to są męczennicy, jak ci których kości spoczywają w katakombach rzymskich. Bierni! — Bezmyślni! — pozbawieni ducha twórczości! Czy wy w letargu?! — Nie! nie! wyście nieżywi! — umarli!

Takie były myśli pułkownika, gdy zetknął się z ludźmi takimi jak pan Rakiewicz.

Dla honoru narodu, przyznać jednak potrzeba, że między liczną szlachtą nie wszyscy byli Rakiewicze.

Są ludzie poświęcenia i czynu, którzy czując zniewagę kraju, a biorąc ją za osobistą, odpierają z energją codzienny atak wrogów, wrogów zaciętych, targających się na wszystko co ludzkość uświęciła znamieniem honoru, uczciwości, nurtując gwałtem, przekupstwem i pochlebstwem, najświętsze podwaliny bytu familijnego, który jest podstawą istnienia narodu

W marszu pułku, nasz Władek nasłuchał się często rozmów, które utkwiły mocno w jego duszy. Widział poświęcenię bez granic, waleczność dochodzącą do szału, widział ospałość i gnusność jednych, gorączkowość bez celu drugich, wszystko to bez ładu i celu, jakby już naprzód skazane na bezowocność.

Zaufanie bez podstawy, zwątpienie bez przyczyny — śmiałość niewytrwała, obawa bezzasadna, wyzywanie bezrozsądne — potulność nieprzyzwoita: — wszystko to razem formowało chaos, chaos tem większy, gdyż nie pojawił się żaden duch wyższy, któryby wskrzesił nieżywych — zespolił i kierował żyjącymi. Wirowało to wszystko bezładnie chwiejnie, obopólnie się paraliżownło. Bezpłodność pokazała się w całej nagości w gronie tych, co kierowali losem i przyszłością narodu.

Bezpłodność w poglądzie i wyborze środków, gnusność przy wykonaniu czynów, nieroztropność w czynie, chwiejność w radzie, łakome chwytanie za momentalne korzyści, a pozbawianie się trwałych skutków, któreby lapidarnie naznaczały poważny pochód zwycięzkiego narodu, pod nieomylnie do tryumfu prowadzącym sztandarem, wolności i równego uprawnienia całego narodu. — Okrzykami piskliwemi: socjaliści! demokraci! komuniści! przygłuszono przewidujących upadek, sarkastycznem szyderstwem wyśmiano ich pomysły, na sto lat cofając w tył do celu dążący — skrwawiony w bojach naród, piętnując się nieudolnością w przewodnictwie uzurpowanym.

Nic nie jest obrzydliwszego, jak narzucanie się do kierownictwa, nie posiadając ducha inicjatywy ani serca dość gorącego i gotowego do poświęceń.

Wychowani w dostatku, pielęgnowani roskoszą, otoczeni pochlebstwy, nigdy nie posiadają hartu i energji w duszy, albowiem najmniejsza przykrość jest im nieszczęściem, małe natężenie jest im pracą, drobne zastanowienie jest dla nich nudnem mozołem, energiczne działanie zdaje się im szaleństwem, bez granic poświęcenie niedorzecznością.

Pułk jazdy, któremu Władek towarzyszył, był legjonem ochotników. Pułkownik stworzył go popędem patrjotyzmu i dobrej woli. Składał się on po większej części ze synów gospodarskich, wiejskich, — oficerowie zaś, jak cała starszyzna, była to szlachta pochopna do boju, ale nieumiejętna i nadęta zuchwalstwem — wykluczając z góry uczestnictwo w kierownictwie wszystkich, co do jej klasy nie należeli.

Ztąd wyradzały się zdania, które nie odpowiadały wybitnie hasłu wypowiedzianemu: „za naszą i waszą wolność“, albowiem w czynie nie miało ono zastosowania i przebrzmieć musiało w ogromie poświęceń z jednej — a w zapomnieniu z drugiej strony.

Daremnie mitygował pułkownik butę i zuchwalstwo szlachty, daremnie przypominał im świętość całej sprawy, która bez udziału ludu nie uświęci celu; — poskromiona na chwilę, wpadała ona napowrót w zarozumiałe przekonanie, że wolność to dla szlachty tylko, lud zaś, jeżeli ponosi ofiarę, to spełnia powinność poddańczą.

Gdy pułk jazdy, któremu Władek towarzyszył, stanął nazajutrz po przemarszu ze Smolanki obozem, wiedział jego dowódzca, że bez krwawej walki nie złączy się z oddziałem, na którego spotkanie dążył z Wołynia.

Gęste nieprzyjacielskie podjazdy okrążały hufiec wołyński i trzymały go jakby w oblężeniu.

Wieczorem gdy rozłożono ogniska, żołnierze wypoczywali, trzymając konie za cugle, gotowi za pierwszym sygnałem stanąć do boju.

Rozstawione gęste wedety i placówki pilnowały czujnie wszystkich przejść i przesmyków, oficerowie zaś służbowi i patrole krążyły bez przerwy między posterunkami naprzód wysunietemi, utrzymując czujność i baczność w służbie forpocztowej.

Surowe te rozporządzenia i ścisłość ich wykonania, były dla każdego żołnierza dowodem, że nieprzyjaciel jest, jak to mówią, na karku.

Jak przededniem każdego boju, uroczyste milczenie panowało w grupach, które stojąc, siedząc, lub leżąc, uformowały się około ognisk. — Władek nasz, nie chcąc żenować rozmowy wyższych oficerów, usunął się do najbliższego ogniska, przy którem zdybał najdawniejszych swych znajomych, tych żołnierzy, którzy go ujęli w ucieczce ze Smolanki. Tylko się przybliżył do nich, przywitał go serdecznie stary wiarus, rozprawiający coś po cichu swoim kolegom.

(D. c. n.)

W stuletnią rocznicę Konfederacji Barskiej.

Sto lat dzisiaj jak rycerze
Polskiej ziemi, w garść zebrani,
Poprzysięgli umrzeć dla Niej,
Lub wywalczyć co Jej wzięto;
Bracia mili! takie święto
Niechaj uczci serc przymierze,
Poprzysiężmy sobie wraz,
Że nic już nie rozdzieli nas!

„Zgoda, jedność“ na sztandarze
Wspólnej pracy niech nam świeci!
Jak przed wiekiem Tamci w Barze,
Tak my dzisiaj wśród zamieci
Wznieśmy czoła — lecz miast stali
Idźmy z słowem na Moskali,
Chrystus słowem wydarł świat
Temu co go Bogu skradł.

Wśród jedności i miłości
Siejmy ziarna sprawy Bożej!
Niech się owoc święty mnoży,
Aby wtenczas, gdy zagości
Anioł w nowy dom Pjastowy,
Wszędzie znalazł dzień godowy!
Bracia mili! taki dzień
Stworzym tylko z pracy tchnień

Boże wielki! któryś zawdy
Z fałszu toni dźwigał prawdy,
Dźwignij dzisiaj słowo nasze
I daj możność, by w poddasze
Każdej chaty z życiem wbiegło
I jak wiara w sercach legło!
Wzrok zciemniałym Panie wróć!
Nie daj braciom braci truć!

Święta Pani z jasnej Góry,
Coś w niejednej ważnej chwili
Rozpraszała zgubne chmury,
Gdy spłakani łask prosili —
Ślemy dzisiaj modł do Ciebie:
Daj nam wsparcie w tej potrzebie,
Pobłogosław, Matko, nam
Byśmy w pracy szli bez tam.

Kraków, 29. Lutego 1868.

Z nauk przyrodniczych.

— **O mowie zwierząt.** Ciekawe nader szczegóły z dziedziny nauk przyrodniczych podaje „Biblioteka cudów", dzieło niejakiego p. Radau, wydane w Paryżu; najciekawszem zaś z dzieła rzeczonego jest tomik „o akustyce czyli zjawiskach głosu", z którego też naszej publiczności niektóre a więcej zajmujące szczegóły do wiadomości podajemy:

Natura nieorganiczna — powiada pan Radau, autor wspomnionego dziełka — wydaje tylko łoskot. Głos bowiem uderzającego piorunu, druzgocącego uraganu, lub szalejącego podczas burzy morza, jest tylko pomięszanym łoskotem. Można jednakowoż i od wjatru otrzymać harmonijne tony, stawiając naprzeciw jego podmuchów (eolską) harfę, której struny wtedy będą mile dźwięczyć.

W świecie jednak zwierząt spotyka sie niesłychaną rozmaitość muzykalnych głosów, które stanowią prawdziwą mowę zwierzęcą. Ptaki, psy i w ogóle wszelkie zwierzęta, wydają wcale inny krzyk, kiedy są w gniewie, a zupełnie inny, kiedy są wesołe lub cieszą się z czego, a znowu jeszcze odmienny, skoro cierpią lub są chore. Głos ich jest ostry, kiedy doznają gniewu lub jakiegoś nieprzyjemnego uczucia — w innych zaś razach jest przyjemny, zadowolnienie wyrażający.

W Wiedniu jeszcze w r. 1800 wydał dzieło niejaki Wetzel pod tytułem; Nowe odkrycia w języku zwierząt, oparte na podstawie rozsądku i doświadczeń. Autor ten powiada, że zwierzęta mogą się z sobą jak najlepiej porozumieć za pomocą swego głosu rozmaicie wydawanego, który stanowi właściwy im język czyli mowę. Nie tylko one z sobą się w tej mowie porozumiewają, ale nawet starają się one swoje uczucia i potrzeby przez nią człowiekowi wyrazić. Język ten można nawet przy pracy tak poznać i nauczyć się nim przemawiać, jak to np. Polak uczy się różnych cudzoziemskich języków, aby mógł potem rozmawiać z Niemcem, Francuzem, Anglikiem lub Hiszpanem. Język zwierząt, powiada ów Wetzel, tem jest godniejszy badania, że w nim nie ma kłamstw wcale; zwierzęta bowiem zawsze powiadają prawdę.

W dziele Wetzla znajdują się nawet początki słownika mowy różnych zwierząt, który dwadzieścia stronnic zajmuje. Autor posunął się tu aż do przetłómaczenia na język niemiecki, wedle swoich zasad, wielu rozmów psów, kotów, kur i różnych ptaków. Przytacza on rozmowę, złożoną z półgłosem robionych mruczeń, jaką powiada, że podsłuchał prowadzoną pomiędzy czterema lisami zamkniętemi w klatce; przedmiotem tej rozmowy lisiej była narada, w jakiby sposób należało postąpić sobie, aby ujść z więzienia. Powiada on dalej, że podsłuchawszy tę naradę, ostrzegał właściciela, że się lisy zmawiają do ucieczki. Właściciel śmiał się nie chcąc wierzyć, aż nazajutrz powiada mi: „Miałeś słuszność! Patrz! uciekły dzisiejszej nocy." Nie wątpliwą to jest rzeczą, że badając zwierzęta, można wydawane przez nie głosy rozumieć choć w pewnej części, a nawet przemawiać niemi po trosze do zwierząt i być od nich zrozumianym. Przytoczymy tu pewne opowiadanie:

Odwiedzając kogoś z moich znajomych w szpitalu wojskowym, powiada pan Radau, poznałem tam pewnego starego oficera. Był to Marsylczyk, człowiek żywych ruchów, gadatiwus jakich mało, ale w gruncie szczery i uczciwy człowiek, choć przy każdej rozmowie z przyzwyczajenia tak klął straszliwie, że aż się szyby trzęsły. — Lubił on bardzo wszystkie zwierzęta i gdzie tylko był, zaraz się zajmował ich, jak powiadał, cywilizacją. W szpitalu ucywilizował wszelkie koty, co zważając na ich naturę niepodległą i do wagabundy skłonną, wcale nie jest łatwą rzeczą. Kiedy mu przyniesiono obiad, wydawał pewnego rodzaju miauczenie, a na to wezwanie spieszyły koty zewsząd, nawet z najoddaleńszych miejsc zakładu i postawiwszy ogony do góry, nuż miauczyć i obcierać się o niego. Myślałem sobie, nic to dziwnego: posłyszawszy hasło koty biegły, bo się nazwyczaiły o tej godzinie jedzenie dostawać, ale to robią machinalnie. „One mnie dobrze rozumieją, powiadał stary oficer, one mnie dobrze rozumieją jak ich wołam, gdyż ja mówię po kociemu. Znam ja i psi język, a nawet małpim językiem wyrażam się lepiej, jak same małpy." „Co też pan nie wygadujesz, odpowiedziałem śmiejąc się." „Jakto! to nie prawda? A żeby cię milion sto tysięcy trzasło! Czekaj, pójdziemy jutro do botanicznego ogrodu, to się pan sam naocznie przekonasz."

Nazajutrz udaliśmy się do botanicznego ogrodu, w którym się znajdują różne jak wiadomo zwierzęta. Stary oficer zaprowadził mnie do Pałacu małp, gdzie zaledwie przybywszy, usłyszałem go odzywającego się głosem gardłowym:

Kirruju! Kirrikju! Kuruki! Kirrikju!

Podaję tu tylko w przybliżeniu głosy wydawane przez starego oficera, gdyż naszemi literami trudno je oznaczyć.

Kirruju!

Trzy małpy poskoczyły i zatrzymały się przed nami.

Kirrikju!

Cztery inne poszły jeszcze za przykładem pirewszych.

Kuruki!

Stanęło ich z tuzin przed nami,

Kirrikju!

Wszystkie już mieliśmy przed sobą. Wtedy stary oficer rozpoczął z niemi jakąś rozmowę tym dziwnym językiem z dziesięć minut trwającą, podczas której w różnych pozycjach stojące i przewalające się po ziemi małpy śmiały się, machały rękami, przewracały kozły, przysłuchiwały się i tym samym głosem odpowiadały, okazując jak największe zajęcie.

Nareszcie stary oficer zrobił giest, że się chce oddalić, a tu całe zgromadzenie poczęło się niepokoić, jakieś dziwne piszczące głosy wydawać, z których wnioskowałem, że muszą znaczyć: Mój drogi, zostańże choć chwilę.

Marsylczyk przemówił jeszcze słów kilka, które dobry humor całej tej czeredzie przywróciły. Poczeliśmy się jednak od okratowania tej rezydencji oddalać, a tu małpy w nowe prośby. Nic nie pomogło, odchodziliśmy dalej i tylkom nowe *Kirrikjujuju* posłyszał, które widać stary oficer jako ostatnie pożegnanie wymówił. Obróciłem się jeszcze i ujrzałem, jak na najwyższyah szczeblach stojące małpy dawały ciągle znaki pożegnania staremu oficerowi. Niektóre nawet coś wołały do niego przez kraty, co mi się zdawało że musi znaczyć: A nie zapominaj o nas! Jeżelibyś prędko nie mógł przybyć znowu, to choć napisz jak ci się powodzi.

„A co! żeby cię bomby rozerwały! Nie umiem języka małpiego? powiedział do mnie uradowany oficer. Oj! wy młodzi! wy to niczemu wierzyć nie chcecie, wam się zdaje że wy tacy mądrzy, a wy nic nie umiecie.

Z pod Malborga dnia 5. marca 1868.

W nrze 9tym Tygodnika w artykule „Rysie w Galicji" — autor dodał że Rysie teraz tylko znajdują się w Północnej Europie, i że liczą się do rzadkich zwierząt, co znaczy, że ich mało się znajduje; — do tej uwagi, dołączam następną wiadomość: Rysi na Polesiu Wołyńskiem i Polesiu Litewskim, jest jeszcze dzisiaj (przynajmniej tak było przed ostatniem powstaniem) dość dużo i to w dwóch gatunkach: mniejszych i większych; z których mniejsze rysie mają skórę ładniejszą, bo więcej centkowaną; — ludzie miejscowi twierdzą przytem, że chcąc mieć ładniejszą skórę, to zaraz po zabiciu nim jeszcze ciepły — trzeba go zakopać do ziemi na parę godzin a centki przezto wystąpią w całej okazałości. Ja sam często polowałem na rysie i sam zabijałem, ale czy prawdą jest podanie ludu — nie sprawdzałem. Ryś robi wiele szkody domowym zwierzętom i w ogóle zwierzynie — a poluje na nią w szczególny sposób, bo zaczajony rzuca się na zwierza i w tejże chwili łapą jedną chwyta za drzewo, by zwierza w biegu wstrzymać; często sam własną zgubę tym sposobem znajduje, bo się kaleczy złamaniem nogi; — gdy jest panem ofiary, to wyciąga wnętrzności z niej i zjada póki ciepłe a resztę rzuca, i jak twierdzą miejscowi, — już do ścierwa nie wraca; — krowę tak skaleczoną sam widziałem. Lasy na Polesiu Platerów i Leona Radziwiłła — w rysie bardzo obfitują; — latem trzymają się bardzo niedostępnych miejsc i tam się płodzą.

A. L. Sołtan.

Na gruzach.

(Epizod z partyzantki 1863 r.)

napisał

Aleksander ....

(Dalszy ciąg.)

Ja tak przynajmniej sądzę — czy z praktyki
Własnej? to mniejsza, lecz miłość szalona
Czasami, przyznać musicie, wybryki
Różne ma — a nie każda dziewczyna Aldona.
I to jest drugą prawdą — dosyć smutną!
Bowiem pan Stefan miał w kieszeni płótno...

O tem wiedziała i ciotka i mama
Anny, że to sowizrzał jest i bałamutnik
Panien, i gdyby tylko taka plama
Ciążyła na nim — mniejsza, lecz okrutnik
Los figlarz w serce uderzył jak knutem:
Wieść się rozeszła, że Stefan bankrutem!

Choć przed nim stoi blady — nędzny — nagi
Łachman przeszłości i jutra dzień głodny —
I wtenczas wzrok ma jasny i pogodny.

Zrujnowanego na majątku, żadna
W powiecie piękność pewno by nie chciała,
Choćby bogata wreszcie a mniej ładna,
Ręczę — że zostać panną by wolała
Na całe życie — choć to szkandał prawie,
Niż za bankruta iść i żyć w niesławie.

Kto jest bankrutem na honorze, taki
Pomiędzy ludźmi chodzi i salony
Przyjmą go — ale gdy uczciwiec jaki
W kieszeni płótno ma, choć urodzony
Z herbem — szlachectwo nawet nie jest tarczą,
Kiedy gdzie wchodzi, psy na niego warczą.

Tak samo było ze Stefanem — w sieniach
Spotykał tylko fagasów, a panów
Nie było w domu.. w kobiecych spojrzeniach
Widział pogardę — a więc do szatanów
Oddał świat cały i posażne panny,
I rzucił wszystko — żal mu było Anny.

A kto o ciebie uderzy ten zginie!
Ty obojętnie patrzysz w świat przyszłości,
Nie znasz nadziei i nie znasz litości.

Lecz nim zostaniesz aniołem bezłzawym,
Przechodzisz piekło i pierś szarpiesz własną,
I patrzysz w niebo twoje okiem krwawem;
Kiedy nadziei gwiazdy na niem gasną,
Piorun nieszczęścia czoło ci rysuje —
I w tenczas trupem jesteś co nie czuje..

O rezygnacjo! przy zielonym stole
Przegrałem całą stawkę na waleta...
Lecz tyś mi tarczą była i na czole
Laurem! — Bank w rękach trzymała kobieta,
Szczęście odbiegło mnie na oka mgnienie,
Tyś ocaliła honor i sumienie.

O rezygnacjo! nie — tego nie powiem
Co ja marzyłem kiedyś — ja, poeta!
I kwiatów ile pod wezgłowiem mojem
Kwitło. — Bank w ręku trzymała kobieta,
Rzuciłem wszystko jej — na wspomnień szczycie,
Dziś się kołysze ona — gwiazdy — życie!

Za wieścią niby kruków czarne stada,
Nadeszła z miasta komorników chmura,
Z sercowych cierpień twarz Stefana
[blada
Stała się więcej żółta i ponura
Jak grób. Godziny całe milcząc siadał
Bez czucia — martwy i tak nic nie
[gadał.

Na licytację majątku, z powiatu
Przybyło kilku przyjaciół Stefana.
Lecz on po twarzy nie dał widzieć
[światu,
Że na dnie serca jego krwawa rana,
Lecz jak gladjator pierś miał nazbyt
[hardą,
By rozpacz zdradzić więcej niż pogardą.

Młodości! co masz ręce dwie zakute,
Bratnim uściskiem i zwiesz się przyja-
[źnią,
Śpiewaj mi teraz bardzo smutną nutę,
Bo cię w mych oczach komorniki zbla-
[źnią.
Szlachcic ratunku nie znalazł — przy-
[czyna —
Było to słowo okropne — ruina!

Jeżeli kiedy kto z was szedł w konkury
We fraku — w białych rękawiczkach —
[nocą,
Gdy rozwieszone nad głową lazury
Gwiazdy mruganiem i nadzieją złocą,
I zostawiwszy w domu całe mienie,
Znalazł popioły tylko i kamienie.



Jesteś cymbał!
A czy pan to mówisz na serjo?
A tyś myślał?
No, masz pan szczęście, bo ja takich żartów nie przyjmuję.

Lecz nim do twarzy ten spokój przy-
[warty,
Skona na wieki — chciałbym w bry-
[lantowej
Łzie wam pokazać ją — marząc roz-
[party
Skrzydłami w chmurach — lub nocy
[majowej
Nakryty płaszczem, gdy burze zawyją,
Ostatnie jeszcze rzucić jej „addio!“ —

Darmo! ja błędny ptak dzisiaj nie
[mogę
Trafić do nieba ani do Aniołów...
Jak na pustyni wicher zwiał mi drogę,
U skrzydeł moich nie pióra lecz ołów,
Niebo mi chmura piorunów zasłania,
Stoi tam Anioł co wejścia mi wzbrania.

Lecz ja wiem dobrze, że moje tęsknoty,
Mają coś w sobie aniołów natury —
Że tak migają jak meteor złoty,
I myśl od ziemi niosą aż w lazury...
To niech ją wiodą do mnie — moje
[żale —
Przez gwiazd uśmiechy — lub sło-
[neczne fale.

Darujcie! mały ten ustęp spowiedzi,
Dziewczęta wpiszą kiedyś do albumu.
Ja wracać muszę do Stefana: — siedzi
Wśród komorników i przyjaciół tłumu;
Szlacheckie gniazdo w ruinę się wali,
On został jeden — wszyscy odje-
[chali.

Zrozumie łatwo, że w takiem zdarzeniu,
Do narzeczonej niema poco jeździć,
I więcej myśleć już o ożenieniu,
Choćby się wieczór miał najpiękniej gwieździć
Od łuny nieszczęść — gdy piorun uderzy—
Najszczerszy nawet przyjaciel odbieży!

Na takie straszne chwile czasem człowiek
Od Boga bierze siły i odwagi —
Że łza mu żadna nie upadnie z powiek,

O rezygnacjo! — ty filozoficzna
Matko — do męczarń idąca z pogardą,
Jakżeś ty piękna jest i romantyczna! —
Kiedy pioruny o pierś twoją hardą
Łamią się! a ty cicha i spokojna
Stoisz milcząca i uśmiechem zbrojna. —

Tam, gdzie zawiniesz pod chorągiew białą,
Do portu żaden okręt nie zawinie;
Na morzu burzą ryczącem, tyś skałą —

Gdy ich pożegnał, nocą o księżycu
Fantazja myśli puściła szeroko!
Smutek się rozsiadł mu na bladem licu,
I bezruchomo wpatrzyło się oko
W przyszłość — dumając tak, usłyszał w dali
Jakby ryk morza — i szum morskiej fali. —

(D. c. n.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się ulotne pisemko **„Świstek.“**

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Z drukarni E. Winiarza.